

JÓZEF BARAN

\* \* \*

## Koncert dla nosorożca (36)

Dziennik poety z przełomu wieków (fragmenty)



22 grudnia

Na spotkaniu z zaocznymi studentkami bibliotekoznawstwa z Akademii Pedagogicznej Henryk Czubata trafnie definiuje moją poezję, że jest pochwałą wolności i spontaniczności, i że zawsze wzdragała się przed jakąkolwiek formą światopoglądowego i programowego zniewolenia. Bardzo miłe uczucie panowania nad 100-osobową widownią, gdy od liryków miłosnych przechodzę – przez żartobliwe i groteskowe – do szpitalnych i „ostatecznych”... i czuję jak absolutna cisza zagęszcza się. Mówię z uśmiechem o raku, że można z nim wygrać. Gdy kończę spotkanie wierszami o wnuczce, czuję, że sala jest moja...

### POZA CZASEM

może to pierwszy rok  
po wypędzeniu z raju  
może tysięczny starej ery  
lub dwutysięczny trzeci nowej

jesteś kobietą ja mężczyzną  
powracamy do natury  
dzieląc się z sobą  
tym co nam ziemia  
dała najlepszego: ciałem  
nieważne są nasze imiona  
istniejemy od zawsze  
za oknem deszcz noc błyskawice  
między nami  
przeskakują  
stworczoboskie  
iskry pożądania

kochamy się  
i nic więcej  
nie wiemy  
poza tym że rajsko  
pierwotniejemy

Rozmyślania o starych przyjaźniach artystów. Trudno się starym przyjaciółom oprzeć przed porównywaniem swych losów, gdy się podobnie zaczynały. Złe jest, gdy są podobne (to jakby kopia) i złe jest, gdy są odmienne (to konkurencyjna wersja). Złe jest, gdy jednemu z przyjaciół się udaje (podświadoma zazdrość), i złe jest, gdy się nie udaje (podświadoma satysfakcja). Różnice, które na początku wydawały się niezauważalne – ogromnieją, podobieństwa – irytują jak karykatury. Dochodzą porównania żon, dzieci. Dochodzi pytanie – kto miał rację?

Ukazał się kwartalnik „Matecznik” (red. naczelny – Janusz Paluch), w którym poświęcono mi prawie pół numeru. Długi wywiad, fragment dziennika, stare i nowe wiersze, esej Dziedzica, szkic Faroną, laurki Ani Dymnej i Leszka Żulińskiego, mnóstwo fotografii Moniki Czapl-Stachnik i jej artykuł o moim borzęckim dzieciństwie „Z krowami do literatury”. Powinienem się cieszyć, l cieszę się – dzień, dwa, trzy... Potem „Matecznik” matowieje, szarzeje, blaknie, wytraca kolory i przestaje na mnie działać. Kiedyś, w młodości, potrafiłem się cieszyć wiele dni drukiem paru wierszy w gazecie i wiele miśięcy – publikacją książki. Dziś nawet duże radości błyskawicznie tonieją. Jest jak w tym moim wierszu „Szara piosnka”:

(...) Nawet wiersz cały z tęczy  
Nagły list radość szczęście  
Co jak wzór na kilimie się złocą

Już za moment szarzeją  
Są jak fatamorgana  
W zeszcly liść się zmieniają i w popiół (...)

Jednocześnie wcale nie maleje próżna potrzebna sukcesów. Człowiek grzebie w drukach – szuka z mozołem wzmianek o sobie: w gazetach, miesięcznikach literackich, słownikach i leksykonach. Jakby go te wzmianki miały przez chwilę zbawić i troszeczkę uratować przed przemijaniem, które coraz mocniej daje o sobie znać. Jest zmartwiony, gdy zauważa, iż jego nazwisko bywa przemilczane, pomijane. Ale, gdy je znajduje, też nie potrafi się długo cieszyć... Ani go to zbawia, ani ratuje przed przemijaniem... Może tylko przez chwilę, ciut-ciut, poprawia mu ciśnienie...

Czy warto się tak mocno przywiązywać do kogoś-czegoś, by potem trzeba było się z takim trudem – na odległość śmierci – odwiązywać? Buddyści twierdzą, że miłość to przesadne uczucie, jeszcze jedna złuda. Zastępują ją współodczuwaniem – współczuciem. Ale oni w ogóle kultuwują raczej sztukę odwiązywania się od świata niż przywiązywania...

Od tygodni źle śpię, więc śnię i kilkakrotnie w nocy budząc się – rozpamiętuję, co mi się śniło. Dziś śniły się cudownie czyste wody w przykopie, lśniącej w słońcu. Uświadomiłem sobie, że gdzieś odeszły ode mnie podobnie czyste obrazy symbolizujące niewinność patrzenia i wyobrażania – coraz więc trudniej wysnuwać z siebie świeże wiersze.

\* \* \*

Sny: nie przeżute, nieprzetrawione cząstki jawy.

### Noc z 31 grudnia na 1 stycznia

Pożegnanie starego roku i powitanie nowego na warszawskiej Starówce. Race, petardy, okrzyki. Nostalgia przemijania krzyżuje się z radością rozpękającą się na wysokościach we wszystkich kolorach tęczy. Przypomina się – nie wiadomo dlaczego – scena z książki Zygmunta Kubiaka, opowiadającej o historii Rzymian. Któryś z wielkich wodzów rzymskich (Kserkses?), siedząc na tronie z białego kamienia i obserwując ze wózgorza przemarsz swych uzbrojonych po zęby, niezwyciężonych legionistów oraz manewry floty

– ni stąd, ni zowąd – zapłakała... gdyż zatrwożyła go myśl, jak krótkie jest życie ludzkie, skoro za sto lat nie pozostanie nikt i nic z tej armii, której tryumfalny przemarsz obserwuje... Czas zwycięży najbardziej bitne wojska, potężne imperia i cywilizacje...

Tradycyjnie już, jak przed rokiem i przed dwoma laty – pobyt w nowohuckim Szpitalu Rydygiera na oddziale doktora Henryka Łabzy. Tym razem najkrótszy, bo tylko dwudniowy. Przykra, ale konieczna kolonoskopia. W przeddzień wypilem cztery litry wody z jakimś słonym środkiem, aby wyczyścić kichy i żeby ludzie w białych kitlach mogli zajrzeć we mnie przez tyłek do środka i dojrzeć tam życie lub śmierć. Udaję, że się nie boję, czyli przez półtora dnia czytam „Stracone złudzenia” Balzaca. Cóż za wielka przyjemność zagubić się w XIX wieku, gdzieś pod Paryżem, skąd tak daleko do mojego szpitala i jutrzejszego badania. Leżąc na łóżku, z rozkoszą podążałem za marzycielskim i niestety bezwolnym młodym poetą Lucjanem, który wyzywał się swoich złudzeń. Znalazłem w książce m.in. następujące zdania: „Talent to straszliwa choroba. Każdy pisarz nosi w sercu potwora, który podobny tasiemcowi w jelitach, pożera w nim uczucia, w miarę jak się rozwijają. Kto kogo pokona? Choroba człowieka – czy człowiek chorobę? Zaiste trzeba być wielkim człowiekiem, aby utrzymać równowagę między geniuszem a charakterem. Talent rośnie, serce wysycha”.

Talent rośnie, serce wysycha... ładne!

Tuż przed wejściem na salę tortur (jak ją nazwałem w myślach, widząc przez szybę sali operacyjnej różne narzędzia) – przeszły mnie ciarki, gdy uzmysłowiłem sobie, że umieranie będzie takim właśnie samotnym przechodzeniem przez salę tortur. Potem pojawiają się pienia aniołów albo diabli wiedzą co (na przykład Nic), jednak wcześniej... ach, lepiej nie myśleć... Jednak chcąc nie wszystkiego. Po cholere się tyle jeszcze męczyć i poddawać torturom, skoro jest to tylko po raz kolejny odwołanie wyroku... Jednak okazuje się, że spotyka mnie miłe rozczerwanie – kolonoskopia przechodzi mi nadzwyczaj bezboleśnie, aż trudno uwierzyć. Kładąc się na lewym boku, rozmawiam z doktorem Mercikiem o naszym wspólnym znajomym malarzu Jurku Panku, który z lekarzami pił tylko wódkę, a z chorobami sam sobie radził (albo nie radził)... po czym chyba na chwilę przysypiam (choć nie jestem tego pewny)... następnie na ekranie monitora oglądam, niczym sensacyjny film, moje grube jelito. Ucieszyłem się, gdy mi powiedziano, że wyniki mam bardzo dobre, zarówno te z USC, jak i kolonoskopii. Mijają właśnie dwa lata od operacji... a tu wątroba, nerki, jelito grube, jelito cienkie itd. – wszystko czyste. A więc jednak prawdopodobnie wyslizgnąłem się na dłuższy czas grabarzowi spod łopaty – wzdycham jeszcze raz z ulgą i zapominam o ponurym nastroju sprzed godziny, gdy oglądałem madejowe łoża na sali operacyjnej.

Po dwu godzinach – właściwie nie wychodzę, a wyfruwam ze szpitala! Tuż za bramą zderzam się z informacją na pierwszej stronie „Dziennika Polskiego” o śmierci pisarki, mojej niegdysiejszej koleżanki z „Gazety Krakowskiej”, Doroty Terakowskiej. Nie wiedziałem, że chorowała. Jak powiedziała mi Marta Wyka, od momentu wykrycia raka, żyła zaledwie 3 miesiące...

cdn.